ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 21 stycznia 1922 roku. № 3.

Juljusz German. Powieść.

3)

TWARZ ZZA KURTYNY.

— Ach — mruknął, patrząc na nią pół gniewnie, pół czule — są chwile, w których żałuję, że jesteśmy tylko kolegami i że tylko grać muszę zawsze twego kochanka czy męża.

— Śmieszny jesteś. Powiedziałam ci kiedyś, gdyś mi zaczął coś podobnego opowiadać... z tobą nigdy. Z żadnym aktorem. Nie czułabym się we dwoje. Zdawałoby mi się zawsze, że ktoś patrzy.

Pokiwał głową.

— Wiem, że wolisz ludzi z poza teatru...

— No, nie dokuczaj. Ja was wszystkich tak lubię... i ciebie także bardzo. Bez teatru nie mogłabym żyć.

Umilkła.

— Nad czemżeś się znowu tak zamyśliła? Wpatrzyłaś się w tę filiżankę czekolady, jak w studnię zaczarowaną...

— Nad niczem, nad niczem, Władku. Tylko chciałam cię o jedno prosić... Z tem całowaniem na scenie... Doprawdy szarpiesz mnie, jak niedźwiedź... Wiesz, przy końcu drugiego aktu? Trochę ostrożniej, dobrze, mój złoty?

— Jak chcesz—rzekł zdziwiony, wznosząc rękę ruchem pełnym godności.

Do stolika zbliżył się w ukłonie młody jeszcze, ciemnowłosy człowiek z bystremi, energicznemi oczami i ujmującym uśmiechem na ustach. Ten uśmiech szukał życzliwie zbliżenia z każdym spotkanym, chcąc w nim uparcie znaleść coś dobrego i pięknego. Dość brutalne rysy twarzy wydzierały się szorstkim, stanowczym nakazem z powiewnej mgły zmęczenia, które marszczyło się w kątach oczu i ku licom szło siecią pajęczą.

— Jakże się cieszę, że panią tu znalazłem i że widzę razem tę świetną parę artystów, której naprawdę wszyscy mogą nam zazdrościć.

Ściskał rękę aktora.

— Czy pan uwierzy? Sześć razy widziałem już pana w „Szalonej pannie" i wybieram się jeszcze, choć jestem wistocie bardzo zajęty. Ale jest pan wprost nadzwyczajny. Stworzył pan typ znakomity. Męski i wytworny, mocny i subtelny. Takich prawdziwych ludzi chciałbym wielu spotkać w życiu.

— No — uśmiechnął się Żarski z rozjaśnionemi zadowoleniem oczami — myślę jednak, że to nie ja ściągam pana tak często do teatru, lecz ta anielska i bezczelna buzia, „Szalonej panny".

— Nie chcę moim zachwytem nudzić pani Lili — rzekł Bronicz. — Słyszała tyle razy... Ale powtórzę, co mi powiedział dziś o pani jeden Amerykanin... Naturalnie, ten dzielny chłop patrzył tylko na pani grę, nie rozumiejąc ani słowa. „Ona to jest takie żywe marzenie od święta. I sama nie wie, co zrobić z tem pięknem, które się przez nią wciąż uśmiecha".

— Brawo, Lili! Podbijasz już i drugą półkulę! — zawołał aktor. — Możebyśmy tak wybrali się za Ocean po dolary? Pan nam to urządzi...

Bronicz zatarł ręce.

— Doskonale! Tylko zawsze naprzód! Pierwszorzędny pomysł. Mówię państwu, dobre jest życie!

Ale cóż ty, Lili?.. — zdziwił się Żarski. — Straciłaś nagle humor. Taka byłaś ożywiona, promieniejąca, gdyś tu się ukazała w całym, że tak powiem, splendorze urody...

— Boście mi waszem gadaniem całkiem w głowie zakręcili.

Zerwała się od stolika.

— Chciałam o jednej rzeczy zapomnieć, a pamiętać o czemś innem, co mi w tym gwarze zaciera się i niknie. Uciekam...

— Pozwoli pani się odwieźć?— spytał Bronicz. Ujmujący uśmiech rozbłysł żywiej. Energiczne oczy bystrzej zaświeciły.

— Naturalnie, samochód czeka przed cukiernią. Pojadę z całą ostentacją. Dobrze, dobrze, niech będzie. A ty, Władku, nie zapomnij, o com cię prosiła...

Z dłoni w białej rękawiczce podniósł się palec ostrzegający. Błękit spojrzenia zjaśniał dziecinnie, przejrzyście.

— Piękno pięknem — szepnął aktor, patrząc za nimi z mgławą zawiścią. — Chciałbym jednak mieć jego miljony...

— Jak nagle, gwałtownie spadł wieczór — rzekła Lili cicho.

Samochód ruszył w warkliwym zgrzycie motoru we fioletowo-siny zmierzch ulicy.

— Widziałeś, jak ta gromadka przed Loursem rozdziawiła twarze? Głupie, złe uśmieszki: „Jedzie ze swoim kochankiem, miljonerem".

— Myślę, że wzruszasz nad tem ramionami z ładnym ruchem politowania — powiedział Bronicz spokojnie.—Czyni to zresztą każdy człowiek, który wie, że poznałaś mnie w czasach, gdym nie miał nic, i że nie chciałaś wyjść za mnie za mąż, gdy jestem bogaty. A wierz mi, takich ludzi jest dużo.

— Tak, przed pięciu laty byłeś biedaczek. Ale miałeś wzrok bardziej łagodny i uśmiech inny. Teraz w tym pogodnym uśmiechu, za który wszyscy cię lubią, kryje się chwilami... o, bardzo zręcznie się kryje... chyba tylko moje oczy mogą dopatrzeć...

— Cóż zobaczyły te śliczne oczy?

— Niepokój jakiś gryzący.

Uśmiechnięte usta zacisnęły się wązko na chwilę. Brutalność rysów skryła się na mgnienie oka w sennie powiewnym obłoku. Lecz zaraz wydarła się z niego ostro, oświecona spotężniałym błyskiem stanowczości, która w źrenicach lśniła niezłomnie.

— Niepokój? Może doznaje go czasem ten ktoś drugi we mnie... nie ja — rzekł prawie szorstko.

Znów najżyczliwiej nachylił się ku niej.

— Ale ty, Liluś, jesteś dziś nieswoja. I dlatego chcesz koniecznie widzieć w innych odbicie własnych, niespokojnych myśli.

Na placu Teatralnym zazłociły się mglisto światła pierwszych latarń. Samochód zwalniał pędu, skręcając w Senatorską.

— Dojeżdżamy. Dasz mi herbaty? Taki miałem dzień, że ledwo zdążyłem w południe coś przegryźć. Za pół godziny mam posiedzenie rady nadzorczej, potem kolację z dwoma Anglikami. Twarde bestje, ale wziąć się do nich, a będą jeść z ręki...

Wysiadali. Bronicz krótkim ruchem ręki nakazywał szoferowi czekanie.

W oczach Lili, zstępującej ze stopnia samochodu, mignęła zdala, gdzieś z boku, młodzieńcza sylweta, wsparta cierpliwie i smutnie o słup latarni.

I słodycz tych oczu spromieniła się dziewczęco zapatrzeniem w głąb myśli uroczo nieznanych.

Zatrzymała się przy bramie.

— Słuchaj, Ryś, lepiej nie wstępuj teraz do mnie. Wolę być sama. Wiesz, byłam dziś u doktora, u tego Szreniawy, któregoś zawsze tak chwalił i o którymś tyle opowiadał. Nastraszył mnie trochę. Chcę sobie to wszystko spokojnie ułożyć w głowie. Nie gniewaj się...

Bronicz nie przestawał uśmiechać się uprzejmie.

— Nastraszył... Te doktory! Tylko nie rób sobie nic z ich krakania! Pogadamy o tem. Poradzimy.

Pogłaskał ją czule po ramieniu.

— Swoją drogą...

Bystrem spojrzeniem zajrzał głęboko w jej cofające się, jakby zawstydzone oczy.

— Mówiłem ci nieraz: orjentuję się wściekle szybko. Już w cukierni patrzałaś takiemi dużemi oczami gdzieś poza mnie, daleko. Bałaś się, że rozsypuje się jakieś wspomnienie... Więc z doktorem prawda. Ale jest jeszcze coś... Broń Boże, nie chcę za nic, żebyś mi powiedziała. To jest twoje. Szanuję to.

Ujmującym uśmiechem spędził cień zmieszania z jej lic.

— Znasz mnie. Postawiłem sobie tak życie, żeby nigdy nie czuć się wobec kobiet pokornym. Więc każdej innej powiedziałbym: pani mi coś kręci...

— A mnie?—Przechyliła głowę w ufnem zapytaniu.

— A tobie, śmiała moja Liluś... Nie bój się niczego, wszystko, co uczynisz, będzie ładne. Wpadnę jutro...

Pocałował ją w rękę. Dał znak szoferowi. Pod miękkim, nasuniętym zuchowato na bok kapeluszem zjarzyły się energiczne, czarne oczy. Zatrzeszczał krótki wrzask tuby. Samochód wsunął się z szumem w mrok, pognał posuwiście. Sygnał tuby zajęczał już w oddaleniu.

Ogarnął ją nagły żal.

Weszła szybko na schody, nie oglądając się.—Tak łatwo odszedł— pomyślała z wyrzutem. Otworzyła jej drzwi młodziutka pokojówka, prawie jeszcze podlotek, ze śniademi rumieńcami na ściągłej, pół dziecinnej twarzy, czarnowłosa, gładko przyczesana, z ciemno szafirowemi, błyszczącemi jak szpilki oczami.

— Jak to dobrze, że pani już przyszła! — krzyknęła radośnie. — Co doktór powiedział?.. — Przytuliła usta do ręki Lili. — Że nic złego, prawda? Ja wiedziałam — rzekła z przekonaniem.—O piątej modliłam się na pani intencję. Wprawdzie tylko w domu, ale to nic nie szkodzi...

— Nie nudź mnie tym doktorem. Jakby się wszyscy uwzięli... Pójdziesz potem do apteki z receptą.

— A dobre lekarstwo zapisał? Już ja przypilnuję, żeby pani porządnie zażywała. Nie ustąpię. Popatrzę zaraz, jak tam napisane, ile razy dziennie...

— Czemuś ty taka czerwona? I czemuś się znowu tak strasznie wylizała?

— Ja nic... proszę pani... tylko musiałam się przyczesać. Ten Józek, od pana Bronicza z biura, wpadł tu na chwilę. Przyniósł dla pani kwiaty, jak każdego wtorku. On mnie zawsze szarpie za włosy...

— Ej Hanka, Hanka...

— On taki głupi, proszę pani. Mówi, że w tym białym fartuszku i z gładziutkiemi włosami jestem jak obrazek z pudełka od cukierków. I że musi mnie zawsze rozburzyć, bo mu się zdaje, że gada z obrazkiem.

— Niech pani tylko nie myśli, żem mu się może dała pocałować!— zawołała z przejęciem. — Bo pani tak na mnie patrzy...

I spłonęła aż do szyi szkarłatnie.

Lili poklepała ją po główce.

— Idźno już, idź, przygotuj w sypialni... Położę się wcześnie.

Przystanęła w środku pokoju, obejmując wzrokiem pełnym kłującego zdziwienia meble, codziennością poczciwą witające obojętnie i łagodnie.

Te krzesła z poręczami z mahoniu, jeszcze ze wsi z domu, to lekkomyślne biureczko markizy, te wazony Dauma i Galleta, liliowym i ciemnoróżanym deseniem liści wzorzystych jaśniące, na obrazie Weissa ten chłopiec nagi, dopiero co rozkwitłą dojrzałością smukły jak struna, którym Hanka gorszy się wśród krwawych wypieków, okurzając go z odwróconą zawsze twarzą... ta kanapka z rozrzuconym stosem jaskrawo wesołych poduszek i ten stoliczek przy niej inkrustowany na jednej nóżce śmieszny...

— Gdybym jednego dnia tego wszystkiego nagle już nie zobaczyła już nigdy—powiał z kąta przestrach niespodziewany.

— To dzień ten coś innego mi odkryje — odpowiedziała półgłośno, wznosząc hardo głowę, strząsając z siebie precz pająka myśli posępnej.—I będę jak podróżnik... Tyle jest jeszcze, tyle nieznanego...

Podeszła do okna. Przycisnęła twarz do szyby. Cofnęła się zaraz w łunie rumieńca.

— Czeka, wciąż czeka. A to dzieciak jakiś zwarjowany. Żeby tylko nie spostrzegł, żem była przy oknie... Gotów sobie jeszcze wyobrazić nie wiem, co... Pilnuje, żebym nie zapomniała... — goniły się myśli spłoszone a wiewem nowego świtu rzeźwiące ożywczo.

Przyłożyła dłoń do piersi.—Jak mi serce bije...

Chwyciła książkę ze stołu. Zaczęła przerzucać kartki, nie widząc liter. Na stole świecił wzgardliwie niewinnym i chłodnie dumnym wdziękiem duży bukiet róż.

— Dlaczego Bronicz ma czasem takie niespokojne oczy? — pomyślała. — Czego się lęka dla siebie? I czy we mnie jest także ktoś drugi?..

Po długiej chwili zajrzała ostrożnie do okna. Wydało się jej, że w postrzępionym mdłemi światłami mroku ulicy głucho szumiący tłum przechodniów pochłonął już postać samotną.

Weszła do sypialni. Przysiadła na rogu łóżka. Rozbierała się powoli.

W seledynowo jarzącym blasku elektrycznej lampy, ujętym w zasłonę z kryształu, wyzwalał się coraz pełniej zarys kształtów, gibką świeżością wezbranych, jasny ciepłym oddechem bieli złotawej i mlecznej, wyrastała coraz żywiej na tle zsuwających się tkanin odrębność nagiego ciała, pustce odkrywającego się bezbronnie.

Dalszy ciąg nastąpi.

Józef Relidzyński. Nowela.

3) Tajemnica przystanku tramwajowego.

Pacjent tymczasem był pod władzą straszliwego wzroku, który w gorączce nieustannie mu się majaczył. Niesamowite, obłąkane, zatrute alkoholem, zielone oczy „pana Miecia“ patrzały na niego z każdego kąta, każdego sprzętu sypialni, z każdego desenia tapety; zdawały się wyłazić z orbit i dwiema potwornemi pijawkami spełzały lub wpełzały po ścianie do chorego, przylegały mu do gardła i krew żłopały...

Czasem znów majaczyła mu się Kazia — nie ta cudna dziewczyna jednak, której wonny i promienny czar rozkwitał mu w tej sypialni, niczem jabłoń biało-różowa, lecz ohydny jakiś, zmasakrowany trup, w poszarpanej wilgotnej sukni, ubabranej w krwi i błocie — tak, jak musiała wyglądać w ten okropny, słotny wieczór jesienny... wtedy... tam... na nieszczęsnym przystanku tramwajowym...

Trup ten, dziwnie ciężki i niekształtny, lodowaty i cuchnący, kładł mu się na piersi; daremnie próbował strząsnąć go z siebie, wołać pomocy. Całemi godzinami leżał z tym straszliwym ciężarem na piersiach; daremnie przymykał oczy—potworny widok wżerał mu się pod powieki. Ze zgrozą myślał o jej złocistych, jedwabnych włosach, które tak lubił gładzić i rozczesywać bursztynowym grzebieniem; zamiast nich muskały jego policzki, jego usta, jego czoło jakieś ohydne, szare kołtuny, skrzepy krwi i błota, które na niepokalaną biel jego poduszek sączyły lepką i brunatną maź...

Zamiast fijołkowych, podłużnych, głęboko ocienionych oczu, dziwnie świetlistych i pogodnych, patrzały na niego dwie czarne jamy, w których roiło się coś białego...

Najgorsze były jednak szpetnie rozcięte, spuchnięte usta, z wystającym, przygryzionym koniuszczkiem języka; nadawały one martwej, sinej twarzy jakiś niesamowity uśmiech, jakiś wykrzywiony, omal łobuzerski wyraz. Uśmiech ten dręczył i prześladował chorego najwięcej...

Potem rozpryskiwało się wszystko w miljardy iskier i zalegała ciemna, głucha, gęsta noc, bezdenna próżnia letargu.

. . . . . .

Tak przeleżał kilka tygodni między życiem a śmiercią. Ostatecznie jednak niezwykła żywotność wysportowanego ciała przemogła chorobę, nurtującą duszę, i w początkach grudnia Opolski był już rekonwalescentem.

Zima, rzeźbiąca baśniowe kwiaty na oknach i otulająca dachy w miękką, alabastrową darń, zima-koicielka i dobra, stara niania, położyła na sercu jego kojące dłonie i, szepcząc mu przy kominku czarowne baśnie o krajach, gdzie teraz świeci wiosenne słońce, kwitną róże, fijołki i mimozy, a bujne życie przelewa się po brzegi, jak szlachetne, musujące wino w kryształowym kielichu — owiała go zapomnieniem. Poczuł w żyłach nanowo przelewającą się, kipiącą, młodą krew, musnęła go złocistym lokiem radość życia, zadźwięczał mu w uszach rozkoszny brzęk złota i — Opolski był wyleczony...

W samą wilję Bożego Narodzenia, która, jak się obawiał, mogłaby sprowadzić jeszcze niepożądane jakieś reminiscencje czyichś dalekich, bardzo dalekich marzeń o pierwszej ich, wspólnej wilji, wyjechał za granicę. Spędził kilka przemiłych miesięcy na Riwjerze, we Włoszech i w Hiszpanji, zabłądził nawet do Afryki. Z wiosną dopiero powrócił do Warszawy, uleczony już kompletnie, beztroski i kwitnący, jak dawniej...

O „panu Mieciu“ oddawna już nie myślał. Zmora upiornego balwierza rozwiała się zupełnie. Wytłumaczył sobie, że całe to spotkanie wówczas było poprostu może gorączkowem przywidzeniem; zresztą, cóż taki biedaczyna mógł zrobić jemu, hrabiemu Opolskiemu!...

Pogrążył się znowu w zawrotny wir uciech światowych. Rozpoczynał się właśnie „zielony karnawał“, główny sezon wyścigów. Zbliżały się *„derby“*, w których barwy jego miały największe szanse. Poza polem mokotowskiem, uśmiechały mu się tryumfy i na innem polu... Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę...

Nie wyciągał jej jednak. Z przykrością stwierdził, że kobiety (wierzył, że chwilowo) się mu przejadły, że zaczynają go nudzić; że wogóle wszystko zaczyna go nudzić. Postanowił natychmiast po derbach pojechać do siebie na wieś—pierwszy raz w życiu odczuł potrzebę samotności, skupienia rozproszonych w ciągu tylu lat na tylu gościńcach sił, myśli i uczuć; miał wrażenie, że się postarzał.

Stan ten zaczynał go niepokoić. Bardziej jeszcze niepokoiło go co innego...

Oto, od pewnego czasu, myśl o Kazi z mroków podświadomości zaczynała coraz uporczywiej przenikać do jego świadomości. Początkowo działo się to okresami, jak przypływają i odpływają fale morskie, cicho zresztą i łagodnie, jak kiedy morze jest bardzo spokojne. Nie była to już straszna, gorączkowa wizja jej trupa, jaka dławiła go kiedyś w gorączce i znikła razem z chorobą; nawet — nie przykre wspomnienie jej zmienionej, przygasłej twarzy z ostatnich dni życia biednej dziewczyny. Nie, Kazia zjawiała mu się najczęściej taką, jaką ujrzał ją po raz pierwszy na pamiętnym przystanku tramwajowym: w skromnej sukienczynie, tanim kapelusiku i płóciennych pantofelkach; rzadziej —strojna i błyszcząca z okresu ich stosunku, zawsze jednak urocza, bez cienia wyrzutu w łzawych ametystach niezapomnianych oczu, przymglona tylko i z jakimś obcym, niepokojącym uśmiechem, który nadawał jej bladej twarzyczce wyraz dziwnej tajemnicy i pokusy.

Przenikał go wówczas żal, pogodny zresztą, jak ów dzień październikowy, wtedy... Z żalem tym mieszał się dziwny, omal rozkoszny niepokój; uczucie to miało dla niego woń trującego kwiatu, dlatego może był tak słodkie. Polubił je, było mu z niem dobrze; wkońcu stało się dlań czemś niezbędnem, jak morfina, która uśmierca, a jednocześnie daje życie temu, kto ją ukochał...

Stopniowo zmarła kochanka zawładnęła nim całkowicie, jak nigdy za życia. Jego myśli były pełne snów, jego sny pełne myśli o niej; jego marzenia tęskniły za nią, jego tęsknoty marzyły o niej... Przenikała mu serce najsłodsza muzyka jej głosu i woń jej włosów. Wszystko jednak, rzecz dziwna, pozbawione było zupełnie pierwiastku zmysłowego; rozwiewało się w tym łagodnym żalu i mglistym niepokoju, w jakiemś rozkosznem omdleniu...

Obecność Kazi wyczuwał na każdym kroku, o każdej porze. Otoczył go jakiś zaczarowany krąg jej uroku, z którego napróżno usiłował czasami się wyrwać, czując, jak młody, zdrowy organizm jego buntuje się przeciw tej upiornej atmosferze, którą zmarła wnosiła w jego życie.

Żył obecnie podwójnem życiem; pozornie pił, grał, jak dawniej, próbował nawet zbliżyć się do jakiej

kobiety. Nie udawało się to jednak. W życiu tem nie był już sobą, dawnym Opolskim, lecz obojętnym, znudzonym i zgaszonym widzem; był, jak ta rzadka orchidea, która z ciepłej, jasnej wystawy sklepowej przez zamgloną szybę patrzy na życie ulicy, na ludzi człapiących po błocie.

Odżywał dopiero w drugiem życiu, co objęło go teraz przemożnym czarem, w którym odnajdywał siebie z lat dawnych, bardzo dawnych, omal chłopięcych; odnajdywał w sobie stany i uczucia, dawno pogrzebane, a tak czyste, że zwilżały wzruszeniem mu oczy...

. . . . . .

Aż wreszcie *zobaczył* Kazię...

Nie było to już grą wyobraźni, działo się na jawie. Było to konkretnie zjawisko, odwiedziny z za świata...

Siedział w swoim gabinecie, przy otwartem oknie, wychodzącem na ogród, w złocistem gaśnieniu dnia wiosennego, który na bronzy i stare portrety kładł świetliste blaski i zaglądał ciekawie do serwantki mahoniowej, dziwiąc się porcelanowym cudom, licznie tam zgromadzonym. Palił papierosa i myślał o *niej*...

Nagle... w kłębach niebieskawego, wonnego dymu, ujrzał najwyraźniej jej twarzyczkę. Przymglona była jeszcze i niewyraźna, ale poznał ją po prześlicznym owalu, antycznie sklepionem czole, a przedewszystkiem—po tym dziwnym uśmiechu, którego nie widział u niej nigdy za życia, który jednak w myślach o niej widział już nieraz...

Nie było w nim zupełnie lęku—radość jeno, że oto przyszła nareszcie, że oto mu wybacza, bo tak słodko doń się uśmiecha. Na chwilę radość tę zamącił jakiś niepokój, jakby czyjaś delikatna dłoń targnęła lekko taśmą dzwonka; niepokój jednak trwał niedłużej, jak odgłos tego dzwonka, i wkrótce zalała go całego bezbrzeżna słodycz, rozkoszne omdlenie, jak kiedy palacz opjum ostatnią fajkę z trudnością do ust podnosi...

Bał się poruszyć, aby nie spłoszyć czarownej wizji...

Egipski papieros zwolna dogasał w jego ręku, a z rozwiewającym się dymem rozwiewała się jednocześnie słodka twarzyczka. Raz jeszcze błysnął jej dziwny, blady uśmiech—wyciągnął ręce — i wszystko znikło w delikatnej pajęczynie seledynowego mroku, która osnuła tymczasem pokój...

W mroku tym, jak dwa brylanty najczystszej wody, zalśniły dwie łzy w oczach Opolskiego. Tym razem były to łzy szczęścia — pierwszego, prawdziwego szczęścia...

. . . . . .

Odtąd zmarła zjawiała mu się coraz częściej i widział ją coraz wyraźniej...

Czasem w gabinecie restauracyjnym, podczas najbardziej szalonej bachanalji, nagle z kieliszka szampana... czasem w klubie, podczas najbardziej interesującej partji bakarata, nagle z jakiejś karty—wyłaniała mu się jej droga postać, jakby przelśniona, o przymglonej twarzy, która patrzała na niego przenikliwie, długo, z dziwnym uśmiechem. Potem postać wolno odchodziła, w drzwiach oglądała się, ogarniała go raz jeszcze całego tym kuszącym uśmiechem, jakby go wołała, i rozwiewała się w dym cygara...

To znowu z poświatą księżycową, kiedy w ogrodzie pałacowym upojnie pachniały bzy i czeremchy, jak o szczęściu marzenia młodej dziewczyny, a w trawie paliły się djamenty rosy, jak nad umarłem szczęściem łzy dziewczęce, spływała do jego sypialni, stawała na tle gobelinowej makaty, u wezgłowia bogatego, rzeźbionego łoża, i patrzała nań długo, bez ruchu, ciągle z tym samym, tajemniczym, słodkim a niepokojącym uśmiechem...

Kiedyś, gdy tak stała nad nim, w tej sypialni, gdzie wszystko mówiło o niej, gdzie każdy atom powietrza, zdawało się, był nią przesycony, zawołał na nią, spróbował coś do niej przemówić. Miał wrażenie, że położyła przejrzysty palec na ustach, jakby nakazywała mu milczenie. Uśmiechnięta była po swojemu, tylko oczy jej jakby mgłą zaszły i lśniło w nich coś, jakby łzy...

Potem podeszła ku drzwiom, obejrzała się i poruszyła głową, jakby nakazywała mu pójść za sobą...

Jak lunatyk wstał z łóżka i poszedł za nią...

. . . . . .

Rankiem służący znalazł go w bieliźnie, zemdlonego, nad brzegiem małego lecz głębokiego stawu, który w ogrodzie pałacowym fantazja hrabiowska kiedyś stworzyła i zarybiła...

Opolski żadną miarą nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazł się na tak niezwykłem miejscu, o tak niezwykłej porze i w tak niezwykłym stroju? Ostatecznie przyszedł do przekonania, że stało się to wskutek zbytniej ilości wypitego wczoraj koniaku, który musiał uderzyć mu do głowy..

W każdym razie objaw ten dał mu do myślenia i poważnie go zaniepokoił. Zdecydował się na pójście do lekarza.

Znakomitość warszawska, zbadawszy go, pokiwała nad nim głową, zaleciła mu bezwzględny spokój i przepisywała jakieś sanatorjum w Szwajcarji. Opolski, czując, że dzieje się z nim coś niedobrego, postanowił pójść za radą lekarza i zaczął się znowu przygotowywać do drogi.

Tymczasem jednak nadeszły *derby*, które tym razem przyniosły upragnione zwycięstwo jego barwom. Tryumf ten okazał się najlepszem lekarstwem na rozprzęgnięte ostatnio nerwy młodego hrabiego. Wrażenie było tak silne, tak oszałamiające i olśniewające, że zagłuszyło wszystko inne; radość—tak żywa, że stłumiła w nim tęsknotę za zmarłą, myśl nawet o niej.

Kazia umarła dlań po raz drugi...

. . . . . .

Zdrowy organizm Opolskiego, długo tyranizowany przez zmarłą chorobliwemi nastrojami i przeżyciami, zbuntował się teraz przeciw haszyszowi trującego wspomnienia i upomniał się w całej pełni o swoje prawa; przesycony makabrycznem obcowaniem z widmem, namiętnie zapragnął rozkoszy, jaką daje kobieta z krwi i ciała.

Po rozkosz tę Opolski, powracający na łono życia kochanek marnotrawny, który zdradził je dla śmierci, wyciągnął stęsknione ramiona, a łaskawe, królewsko-hojne życie, niby wyrozumiała, mądra kochanka, przebaczyło i podało mu ambrozję rozkoszy, tym razem z rubinowego, wysadzanego najbielszemi perłami puharu ust uroczej i urocznej Stelli, wschodzącej gwiazdy kabaretowej, którą w dniu swego tryumfu poznał na wyścigach, pięknej, jak ucieleśnienie samej miłości, urodą, grzeszną jak sam grzech...

W jej oszałamiających ramionach, w mgle jej wyrafinowanych perfum, w lazurze dziecięcym jej oczu i mroku krwawym jej zepsucia zatracał się z dawną pasją i z tą cudowną świeżością żywiołowego, rasowego kochanka, jaką każdy nowy, nawiązujący się romans odradzał z popiołów jego duszy. Z krańcowością, właściwą jego naturze, przerzucił się odrazu z jednej ostateczności w drugą — z przeżyć mistycznych stoczył się w trzęsawisko użycia...

Dalszy ciąg nastąpi.